



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



STRUSIE.

## STRUSIE.

Olbrzymie te ptaki jakkolwiek dobrze znane, nie przestają zaciekawiać przyrodników niektórymi właściwościami swej budowy: kości bowiem, narządy trawienia i inne jeszcze wewnętrzne organa, mają jak zwierzęta ssące, czaszki ich nie różnią się od czaszek krokodyłów i pytonów, gdy reszta członków ptasi ród przypomina.

O obyczajach strusi wiele już pisano. Odznaczają się one wielką żarłocznością, połykają nawet grudki ziemi i kamyczki, oraz wszelką karm zarówno mięsną jak roślinną, lubo ostatnią żywią się przeważnie. Inteligencya ich za to jest bardzo ograniczoną. Polując konno na strusia, trzeba co najmniej ośmiu godzin aby go doścignąć. Nie ucieka on nigdy wprost, ale w biegu zakreśla ciągle duże koła i gdy już upada ze znużenia, staje i ukrywa głowę w piasku, mniemając że w ten sposób będzie niewidzialnym dla myśliwca, który go wtedy chwytą. Od dwudziestu lat blisko jak zajmują się hodowlą strusi po urządzonych na ten cel folwarkach, sto tysięcy przeszło upolowano ich w ten sposób. Olbrzymie wydane na ten cel kapitały, przyniosły wszakże znaczne dochody, gdyż handel piórami strusimi jest bardzo rozległy. Pióra te w kolorach białym, czarnym i popielatym wyrastają u ogona i na końcach skrzydeł, któremi wszakże ptaki nie mogą się unieść w powietrze; służą one im tylko za rodzaj żagli rozwinętych w biegu. Dawnemi czasy najwięcej popłacały pióra strusie z Alepu, Senegalu, Egiptu i Mogadoru, obecnie najdroższe są pióra z przylądka Dobrej Nadziei. Cena samych strusi zmniejszyła się bardzo w ostatnich czasach; w r. 1882 za parę pojmanyh strusi (bo parami ich osadzają na pewnej przestrzeni gruntu dla oswojenia), płacono po 30,000 franków, we dwa lata później można je było mieć za 6,250 franków, co nie jest wcale wiele, zważywszy że pióra z jednego strusia uczynią rocznie 1350 franków dochodu. Jaja strusia tak wielkie, że z jednego można sporządzić jajecznicę na dziesięć osób, wylęgają się w dołku wykopanym przez samice w piasku, ogrzewane jedynie promieniami słońca tam gdzie klimat gorący, tam zaś gdzie chłodniejszy wysiaduje je samiec. Struś, jak go przedstawia rycina nasza, ma szyję bardzo długą, głowę nie pokrytą wcale pierzem, zupełnie przeto łąsą, nogi nadzwyczaj muskularne i silne. W Ameryce, a mianowicie w Kaliforni próbowano zakładać strusiarnie, nie przynoszą one wszakże takich dochodów jak strusiarnie w Afryce południowej.

## ZŁOTNIK KRÓLEWSKI,

OBRAZEK Z XIV W.

P. Z. Morawska.

(Dokończenie).

Młodzian skłonił się do nóg królewskich, mówiąc:

— Wszystko wam, najjaśniejszy panie, winienem, chciałbym pracą moją okazać jaką mam dla was wdzięczność i przywiązanie.

— Byłeś w Wenecyi, Florencyi i Paryżu, musiałeś nauczyć się delikatnej ze złota roboty.

— Uważano mnie za najrzęczniejszego mistrzowskich wyrobów pracownika — odparł skromnie młodzieniec.

— Weźmiesz więc sztabkę złota i drogich kamieni, co najświetniejszych z naszego skarbcza i wyrobisz ozdobną a delikatną koronę.

Złotnik skłonił się na znak, że wie czego od niego żądają, czekał jednak chwilkę, czy król mu jeszcze czego nie powie.

— Niechaj będzie korona bogata, a misterna i lekka, aby ozdabiała a nie cisnęła głowy, która ją nosić będzie.

I dał znak że nie ma nic więcej do powiedzenia. Młodzieniec skłonił się do nóg królowi i odszedł. I odtąd w wielkiej królewskiej fabryce siedział przy swoim warsztacie. Rozgrzewał złoto, wyginał je i wyrzynał w najdelikatniejsze wzory, osadzał rubiny, szafiry i dyamenty, a z pod jego zręcznych i pracowitych palców, wychodziły coraz piękniejsze ozdoby w kształt korony królewskiej ujęte.

A chociaż pod okiem jego pracowało wielu ludzi, nie dał się tego misternego cacka dotknąć nikomu, mówiąc:

— Niechaj własną ręką dokonam tej pracy dla mego pana, boć z jego to łaski ręka moja nabyła tej umiejętności.

A król też często przychodził do warsztatu i siedząc godzinami, przypatrywał się zręcznej robocie złotnika, gawędząc z nim przyjaźnie.

Na zamku zaś wyszehradzkim czyniono przygotowania do wielkiej uroczystości. Wszakże to Gara i jego towarzysze pojechali za Karpaty prosić o rękę córę Władysława Łokietka, pięknej a dzielnej królowy Elżbiety.

Związek ten dla obu monarchów bardzo był pożądany, boć sąsiadując tak blisko dobrze mieć powinowatego w każdej potrzebie.

Oczekiwano więc przybycia na zamek Karoberta nie byle gościa, a twarz króla zwykle posępna, teraz dziwnie poweselała.

Aż jednego razu dano znać, że już tylko o dzień drogi są od Wyszehradu. Rumor więc zrobił się jeszcze większy i krzątanina ogromna.

Na zamku zawieszano wzorzyste makaty, ławy okrywano drogiemi oponami, w cyrku przygotowywano świetne widowiska, a na podwórzu zamkowym wykończano wzniesienie, z którego król i przybywająca królowa mieli przypatrywać się urządzonemu na ich cześć turniejom.

Najwięcej jednak było przygotowań w wyszehradzkim kościele, tam najpierwsza i najważniejsza miała się odbyć uroczystość: ślub Karoberta z Elżbietą i koronacja młodej królowej.

Kościół wyszehradzki wyniosłemi swemi wieżycami wznosił się ku niebu, górując nad zamkiem królewskim i rozsiadłemi wśród całego podgórze zamkami panów.

— Jeżeli ja dla siebie buduję mieszkanie, niechajże przybytek Najwyższego nie świeci pustką — mawiał król.

Posprowadzał więc z dalekich krajów rozmaite ozdoby. A że to ród Andegaweński spokrewniony był z dworem francuskim i neapolitańskim, a Karobert, przebywając tak na jednym jako i na drugim, napatrzył się przepychu i pięknych ludzkiej ręki wyrobów, wybierał z Włoch i Francyi co było najpiękniejszego.

Dziesięć lat jego pracy stały się prawdziwym skarbem dla Węgier, bo ziemia ta, tak piękna z natury miała ogromnie dużo bogactw w swem łonie. Z bogactw tych, ze złota i drogich kamieni, wznoszono ozdoby w wyszehradzkim kościele, a piękne malowidła i rzeźby sprowadzane z Włoch ujęte były w oprawę, wyrobioną na miejscu. Wysokie okna zaopatrzone były w przepiękne szyby szklane, na których barwnemi kolorami jaśniały wymalowane postaci Chrystusa, Jego Matki i św. Pańskich. Szyby te sprowadzone z Wenecyi i Florencyi były prawdziwym arcydziełem malarstwa, które właśnie w owym czasie rozwijać się w powyższych miastach zaczęło.

Kościół więc rozwartemi podwojami i obszerną a wysoką nawą, oczekiwał teraz przybycia królewskiej narzeczonej. Wśród nawy, bliżej wielkiego ołtarza, ustawiono tron, na którym po odbytych ślubie i koronacyi Elżbiety, zasiąść mieli oboje królestwo.

Słońce jesienne przez różnobarwne szyby wyszehradzkiego kościoła rzucało swe blaski, ozlaczając wnętrze całej świątyni i złocistym łukiem załamywało się na przygotowanym tronie.

Dano znać o zbliżaniu się królowej Elżbiety i oto rozkołysane dzwony napełniły swym dźwiękiem powietrze, rozchożdząc się dalekiem echem.

Lud świątecznie przybrany ciągnął ze wszech stron, zaroily się wszystkie wzgórze, nawet most na Dunaju dźwigał

tłumy na sobie, a w błękitnej wodzie rzeki odbijały się głowy ludzkie jako we zwierciadle.

Orszak Elżbiety posuwał się zwolna, ona zaś na pięknym białym koniu, przybranym w błękitny, szyty srebrem i złotem czaprak, jechała śmiało, górując silną swą dziewiczą postacią nad otaczającymi ją niewiastami. Aż oto od wyszehradzkiego zamku wyjechał orszak inny, na jego czele jechał w dumnej postawie Karobert. Koń jego również był biały, okryty opo-  
ną szkarłatną, szytą drogiemi kamieniami, mieniła się ona z blaskiem złota na zielonym stroju króla.

Karobert zręcznie zatoczył koniem i zrównawszy się z przybywającą narzeczoną, schyleniem głowy ją powitał. Białe i hoże lice Elżbiety uśmiechnęło się wdzięcznie, a z pod warg purpurowych ukazał się szereg białych jak perły zębów. Na widok tego uśmiechu i swobody prawie dziecięcej, prawdziwą radością rozjaśniła się twarz Karoberta; rzekł więc:

— Cała ziemia węgierska rozjaśniła się od waszego uśmiechu, miła nasza narzeczonko.

— Ziemia węgierska jest tak piękna, a tak miłościwego ma króla, że to właśnie na jej widok uśmiech wypłynął na moje lice — odparła Elżbieta.

— Oby ten uśmiech wiecznie na niem gościł — rzucił król z całą szczerością.

— Postaram się, miłościwo panie, aby nigdy smutkiem waszego życia, nie zachmurzyć — rzekła królowa z taką śmiałością, jakby oddawna знаła swego narzeczonego.

Wtem marszałek całej uroczystości dał znak — konie królewskie i cały orszak stanął.

Tepel przytrzymał konia, Gara i Szenai strzeżem Elżbiety, a ona pewną nogą stąpiła na ziemię węgierską i posuwistym krokiem, po suknie czerwonej, którem droga była do kościoła wysłaną, podążyła obok przyszelego małżonka. Przed ołtarzem oczekiwał ich Ragasas, arcybiskup wyszehradzki.

Dziwiło to jednak wszystkich, a głównie przybyłych z Elżbietą panów, że nie widzieli korony złożonej na ołtarzu.

— Czemże ukoronują naszą królowę? — pytał.

— Mielizby koronacją na inny dzień odłożyć? — rzucono z powątpiewaniem.

— Czyżby jej koronacyi odmówiono? — rzekł jeden z przybyłych dostojników. I zmarszczył brwi, jakby chciał już poszukiwać obrazy wyrządzonej Elżbiecie.

Niepotrzebnie jednak się frasował, zaraz bowiem po skończeniu zaślubin, ukazał się piękny młodzian, ukląkł przed arcybiskupem i podał mu na szkarłatnej poduszce cudnej piękności koronę.

Ragasas wziął to misterne cacko, poświęcił i włożył na głowę kłęzącej Elżbiety, mówiąc:

— Witaj małżonko najmiłościwiej nam panującego króla Karoberta, witaj królowo węgierska!

— Witaj, witaj królowo! — podniosły się głosy pod sklepienia pańskiej świątyni!

Wśród tych okrzyków Karobert podał rękę małżonce i weszli na stopnie tronu. Po krótkiej przemowie arcybiskupa i otrzymaniu należnego hołdu, królestwo jechali na zamek.

Lud, który nie mógł się wcisnąć do kościoła, rozstawiony szeregiem tworzył żywy szgaler.

Przesuwał się wśród tego tłumu za orszakiem młody złotnik królewski, w którym wszyscy poznali dawnego Erosa.

— Oto skarb dla nas wszystkich — rzekł stary Nemes wskazując na młodzieńca. — On z łaski królewskiej przyniósł naukę i zręczność w pracy. Ta praca i te rzemiosła wprowadzone przez króla, to ów skarb, którym się z całym swoim ludem podzielił.

## DO DZIEWCZYNKI.



Dzieweczko moja! dopókiś młoda  
Gładkie masz czoło, bez cienia fali,  
Jak zwierciadłana, przejrzysta woda,  
Gdy nieruchoma lśni się w oddali.  
Oczy masz jasne, jakby w nich grały  
Cudne odbłaski światła tęczowych,  
Które mi stroisz twe ideały,  
I chronisz duszę od tchnień lodowych.  
Z ócz ci wyziera i w nich się mieni

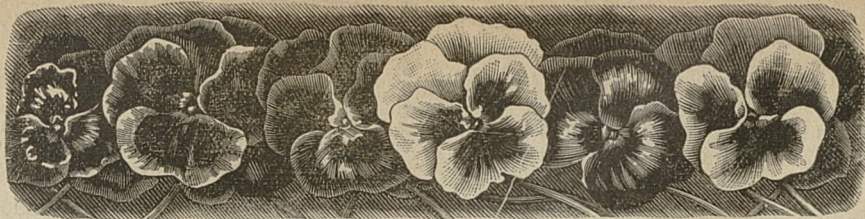
Ten ogień święty, co w duszy płonie;  
W różowym blasku jego promieni  
Dla ciebie teraz świat cały tonie.  
Dla ciebie jasno, pięknie dokola  
Ty widzisz światło tam, gdzie mrok szary,  
Gdzie tylko człowiek, widzisz — anioła,  
Jak pieśń ci dźwięczą powszednie gwary.  
Lecz szorstką dłonią, gdy życie wzruszy  
Złota pajęcza tkanka uludy,  
Co jasny płomień podsyca w duszy  
W proch się rozsypie. A życia trudy,  
Cięższemi będą, gdy już zagasną  
Zapału święte, silne promienie,  
Co gwiazdką wiary świeciły jasną  
W dalekich trudach celów ziszczenie.  
Strzeż tego ognia! On jak Znicz święty!  
Trzy mu kapłanki postaw na straży  
A ogień iskrą małą poczęty,  
W płomień się silny, wieczny rozżarzy.  
Kapłanka pierwsza — to miłość ludzi:  
Poznasz, że cierpią i co ich boli.  
Ona iskierkę pierwszą rozbudzi:  
Pragnienie przyjscia w pomoc niedoli.  
Nadzieja — druga w kapłanek rzędzie;  
Ta, wiecznie młodem ożywcem tchnieniem,  
Słabe żarzewie podniecać będzie,  
Aż się rozpali czynu płomieniem.  
Wiara — mistrzyni wielka ludzkości,  
Strzedz ci go będzie najwięcej właśnie,  
By nim oświecić szlaki wieczności  
Tak, że wraz z życiem chyba zagaśnie.

R. E.

## Wrota Tamerlana.

Nieopodal powiatowego miasteczka Dżizaku, leżącego nad gościńcem, który prowadzi do Samarkandy, podróżny minawszy gęsto rozrzucone wśród pól uprawnych jurty kirgiskie, spotyka sławne „wrota Tamerlana”. Są to odległe od siebie na kilkadziesiąt kroków dwie skały łupkowe, wysokie na 120 metrów. Nie wiadomo dla czego tak je nazwano, bo w napisach, w języku perskim na nich wykutych, wcale nie ma wzmianki o sławnym wojowniku, który świat nappełnił postachem swego oręza.

Jeden z napisów sławi imię wnuka Tamerlana, Uług-Bega, którego nazywa „pogromcą państw i narodów, uczniem Allaha na ziemi”. Drugi, pochodzący z r. 1571 opowiada o zwycięstwie „chana chanów, Abdułły, który, dzięki szczęśliwej wróżbie gwiazd, pokonał armię 400,000 nieprzyjacielskiej wojowników, przelał potoki krwi, płynącej miesiąc cały rzek Dżisakiem. Niech świat cały wie o tem!” tym wykrzyknikiem chełpliwym kończy się napis, wymownie świadczący o samochwalstwie cechującym wschodnie ludy.



## OGRODY BOTANICZNE.

skreślił

Edmund Jankowski.

(Dokończenie).

W bliższe szczegóły naszych ogrodów botanicznych wchodzić tu nie mogę; skreślenie dokładnej historii każdego z nich, wymagałoby wiele miejsca i może nie byłoby dla czytelników interesującym.

Ponieważ w ogrodach botanicznych znajdować się powinni przedstawiciele wszystkich okolic i o ile możności wszystkich flor ziemi, więc żeby z tego nagromadzenia nie powstało zamieszanie takie, jak było ze zwierzętami w arce Noego, potrzeba je jakoś uporządkować. Botanicy wprawdzie wymyślili rozmaite systematy czyli układy, według których wszystkie rośliny dają się zebrać w pewne skupienia, podobne do siebie z kwiatów, owoców i t. p. Wszystkie te systematy jednak nie wystarczają, ponieważ istnieje mnóstwo rodzin, które niewiadomo gdzie pomieścić. W przyrodzie, którą Bóg stworzył, niema takich podziałów na wyraźne kasty lub klasy, jakie sobie ludzie sztucznie potworzyli. Jest tylko nieprzerwany szereg stworzeń, coraz doskonalszych pod względem swego ustroju, a jednak formy tak nieznacznie przechodzą w inne, że zdaje się jakoby to był nie łańcuch z pojedynczych wyraźnych ogniw złożony, lecz jedno wielkie koło zrobione z drucianej plecionki.

Ułożenie tedy roślin nigdy nie może być takim, jakim ono jest w naturze, a chcąc jaknajbardziej zbliżyć się do prawdy, niektórzy uczeni próbowali układać rodziny na kole, na ktorem każda z nich znajdowała się pomiędzy dwiema innymi rodzinami, najbardziej zbliżonymi, a żadna nie była pierwszą ani ostatnią.

W ogrodach botanicznych trudności wzrastają jeszcze. W jednej bowiem rodzinie obok wielkich drzew mieszczą się często drobne zioła—np. grochownik i biała koniczyna, należą obie do rodziny groszkowatych. Tak grupować i umieszczać roślin niepodobna, a to tem więcej, jeżeli do tej samej rodziny należą obok roślin rosnących u nas dajmy na to, rośliny brazylijskie lub afrykańskie, konieczne szklarni wymagające. Żeby o ile można uczenie się i poznanie roślin ułatwić, rozmieszczają je według systemu Jussieugo, Lineusza lub innego botanika, trzymając się przytem dwóch metod: 1) albo jak największą ilość roślin tejże rodziny, z wyłączeniem drzew, krzewów i roślin szklarniowych, sadzi się obok siebie, na grzędach podłużnych (klasy)—taż właśnie ułożone są w ogrodzie warszawskim; 2) albo rozrzuca się rośliny grupami tu i owdzie, nieco fantazyjnie, mieszcząc drzewa w środku, krzewy pod niemi, a na przedzie drobniejszych przedstawicieli; tak są ustawione w ogrodzie botanicznym wrocławskim. W pierwszym i drugim razie, roślin zwrotnikowych szukać trzeba w szklarniach; w pierwszym zaś — drzew w ogrodzie, gdzie są perozrzucane.

Układanie roślin florami, miało miejsce tylko w t. z. ogrodach geograficznych (w Kopenhadze niedawno taki ogród założono, o ile mi wiadomo). W tym wypadku starają się obok siebie ustawiać jaknajwięcej roślin charakterystycznych dla pewnego kraju lub okolicy.

Jednym z najciekawszych dla zwiedzającego, jest ogród botaniczny warszawski, a to dzięki pomysłom znakomitego cologa i botanika Goeperta. Mianowicie przy każdej ro-

ślinie ważniejszej, na słupku umieszczony jest tam słoży szklany, zawierający jej kwiaty, owoce i nasiona, a nawet wyroby z tejże rośliny, jeżeli są takie. Dajmy na to kawałek perkalu i nici obok bawełny, farbka obok indychtu (*Ingigafera tinctoria*) i t. p. Są tu także okazy flory karpackiej, z przedpopowych czasów, a zwłaszcza z formacji węglowej—a więc te z których powstał węgiel kamienny. Można tu np. widzieć kilkanaście łokci obwodu mający skamieniały pień bursztynowca, czyli sosny, której stęgała pod wodą żywica stanowi drogocenny bursztyn. Sosna ta od wieków już zaginęła.

Mógłbym jeszcze dużo szczegółów w tem miejscu przytoczyć, ale się boję zmęczyć was, kochani czytelnicy; pozwólcie więc bym jeszcze słów parę dorzucił o znaczeniu jakie mają ogrody botaniczne obecnie.

Przedewszystkiem tedy dostarczają one materiału do nauki o roślinach nauczycielom, wykładającym tę naukę w szkołach. Zwiedzający, którzy się drzewom i krzewom w ogrodzie botanicznym uważnie przyglądają, mogą się z niemi dobrze zapoznać, bo każda roślina opatrzona jest nazwą naukową. Szczególniej dzieci, których pamięć jeszcze jest świeża, doskonale mogą w niej pomieścić niejedną piękną roślinę, co się im nieraz w życiu przyda. O kwiatkach zwłaszcza można to powiedzieć, bo te najłatwiej w oczy wpadają.

Tu studenci medycyny i przyszli aptekarze poznają rośliny, których potem będą używali jako lekarstw. Są tu i liczne trucizny, lecz umiejętnie użyte nie trują one, ale na dolegliwości ludzkie pomagają.

Wszystko to są tylko korzyści ogólne, istnieją jednak i bardziej specyalne. Ogrody botaniczne dostarczają materiału do studyów nad budową wewnętrzną anatomiczną roślin, a nadewszystko robią się nad niemi niezliczone doświadczenia, dla zbadania tajników życia rośliny: jej wzrostu, żywienia się, rozmnażania odjętemi częściami korzeni, lub łodygi i t. p. Co tu podpatrzy uczonego botanik i chemik-fizyolog (badający życie roślin), to następnie zastosuje rolnik lub ogrodnik do uprawy w praktyce; badanie niektórych takich tajemnic nauczyło, jak doprawiać ziemię i jakie na każdym gruncie hodować trzeba rośliny. Badanie własności roślin, pozwoliło też niejedną z nich użytkować w medycynie lub przemysle. Dodajmy do tego, że wielka ilość roślin hodowanych jako ozdobne i owych pięknych kwiatów które podziwiamy w bukietach, owych rzadkich i ozdobnych drzew które użyczają nam cienia w polach i alejach, rozeszła się także z ogrodów botanicznych. Powstały tu nawet mnogie nowe odmiany kwiatów, przedtem zupełnie nieznanych. Więc ogród botaniczny jest niby zakrystą w świątyni nauki. A jak w zakrysty nagromadzone ornaty świadczą o bogactwie kościoła, tak rośliny zebrane w ogrodzie botanicznym dają wymowne świadectwo o potędze i wszechmocności Tego, który przydział liście całą ich krasą, który z niczego stworzył te miliony milionów jestestw, jedne od drugich doskonalsze i piękniejsze.

## CIOCIA HELA.

OPOWIADANIE Z. M.

(Dokończenie).

Kącik został urządzony, a obok stała półeczka z książkami, „na dnie słotne,” jak mówiła ciocia Hela. Trudno byłoby opisać jakim sposobem, w przeciągu trzech tygodni,



WROTA TAMERLANA.

Florcia wdrożyła się do życia zupełnie innego, jak to które dotąd prowadziła. Daleko lepiej przypadła jej ono do smaku niż dawne próżniactwo w którym dniu jej schodziły. Wszystko to sprawiła ciocia Hela, ale cicho, spokojnie, skromnie, tak jak niejedną rzecz przerobiła. Stasiem zajmowała się też ciągle, i nie narażając się Joannie, umiała wszystkiego sama dojrzeć. Chłopczyk był trzymany w karności, musiał o jednej godzinie wstawać i iść spać, to też lepiej wyglądał, zdrowszy był, weselszy, i Florcia zaczęła go regularnie uczyć codzień przez godzinę.

Długie robiły wycieczki po okolicy; ciocia Hela umiała odkryć wszystkich którzy byli w biedzie lub bez roboty, mówiła Florci, że powinna o nich donieść ojcu i jego żonie, i zając się potem nimi. Marysia uległa także potroszę urokowi p. Heleny, która namówiła jej matkę, żeby zadość uczyniła życzeniom Marysi i pozwoliła jej oddać się sztuce. Ku wielkiej radości Marysi, postanowieniem zostało, że na zimę pojedzie do Krakowa, do zameżnej siostry i tam kształcić się będzie.

Lecz chmura ciągle wisiła na widnokręgu Florci. Pierwszy raz w krótkim swem życiu, była zupełnie zadowolona, ale wiedziała, że to nie długo potrwa. Dnie poświęcone pracy wesołe i swobodne, poufne rozmowy o zmroku, ciche wieczory, serdeczne dobranoc, czuły uścisk gdy w łóżku już była, a ciocia Hela odwiedziła ją; głęboki spoczynek, po którym z uciechą witała nowy dzień podobny poprzednim, wszystko niedługo minie, bo jak donosił list odebrany jednego wieczoru, państwo Różalscy za tydzień mieli powrócić do domu.

## V.

— Zmiluj się ciociu, uspokój mnie. Czy to coś tak bardzo strasznego? Może ona tu wcześniej przyjeżdża?

P. Helena położyła list, który czytała i rozśmiała się wesoło jak dziecko.

— Moja droga Florciu, czy twoja mama zawsze będzie się nazywała ona. Biedna Zofia, zdawało mi się, że już doszłyśmy do tego, iż mówiło się: „Mamie się to podoba.“

Florcia zarumieniła się niezadowolona.

— To tylko raz było, przez zapomnienie — powiedziała wyniosłe. — Nigdy ją nie będę nazywała mamą, nie mogłabym — zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową na znak niezłomnego postanowienia. Po chwili jednak ułagodziła się — Cóż jest w tym liście? Widzę, że to coś ważnego.

— Zapewne, ale i przyjemnego także. Twój ojciec pisze że „oni,” to jest owa straszna ona i ukochany on, będą na ostatniej stacyi kolei w poniedziałek i pragną, żebyśmy naprzeciw nich wyjechali. Jakże ci się to podoba?

Oczy Florci zabłysły, ale po chwili spuściła je.

— Toby było ślicznie, tylko...

— Ona — wtrąciła p. Helena.

Florcia poważnie potrząsała głową.

— Jednak musimy jechać, ojciec powiada, że tylko jeden dzień tam spędzimy, to jest ty.

— A gdzie ciocia Hela będzie?

— Zdążać będę ku domowi, moja droga dziewczeczko — powiedziała smutnie ciocia.

I tak nadzieja milej chwili rozwiła się. Nim jednak nadszedł ten ważny poniedziałek, w rozmowie wieczornej, może najmilszej, jaką pamięć Florci zachowała, p. Helena obiecała przyjechać w zimie i długo zabawić.

— Ale wtedy tak dobrze wam będzie razem, tobie i jej, że ciocia Hela będzie może zapomniana — powiedziała łagodnie.

Florcia potrząsała głową; wiedziała że tak nie będzie. Cały świat nowych uczuć, pragnień, porywów, obudził się młodocianym umyśle. Żądza władzy wydawała jej się wesołą; dnie schodzące na próżniactwie, na niczem, zamiast cichych rozmów z Marysią, jakże próżnym się stało porównaniu z życiem czynnym, pożytecznym i przyjemnym zżyciem, które wiodła teraz. Zmianę tę winną była cioci Heli, jakżeby ją mogła zapomnieć? Oparłszy ciemną główkę

na kolanach p. Heleny, łez parę wylała jako zażalek owej wierności, o której słowami nie potrzebowała ręczyć, a po tej ostatniej rozmowie łatwiej przyszło powziąć postanowienie, że w pół drogi spotka nową matkę.

\* \* \*

— Piąta! czas już żeby Hela tu była — mówił ojciec Florci w pół do siebie, w pół do wysokiego o wesołym obliczu chłopca, który razem z nim siedział w altanie, w ogrodzie hotelowym.

Od pół godziny uwaga obu zajęta była spoglądaniem to na zegarek, to na ścieżkę wiodącą do altany. Godziny wlokły się i coraz większa niecierpliwość ogarniała p. R. Chciał z Florcią osobno pomówić, nim ją zapozna z żoną swoją i dla tego to napisał do Heleny, żeby przyprowadziła dziewczynkę wprost do altany i zostawiła ich samych na pół godziny.

— Oto Hela — zawołał nareszcie Michaś — a z nią Florcia, łatwo ją poznać po podobieństwie.

Śniada cera, wielkie czarne oczy i ciemne włosy ojca przeszły w samej rzeczy na jego córkę, z tą różnicą że ojciec uchodził za bardzo pięknego mężczyznę; o Florci można było tylko powiedzieć, że miała twarz przyjemną. W tej chwili właśnie miło było na nią patrzeć. Oparta na rękę cioci Heli, rozmawiała z nią żywo, oczy jej błyszczały, cała twarzyczka pełną była wdzięku i pierwszy to raz ojciec znalazł swoją córeczkę śliczną. Oczy cioci Heli utkwione były w tych, którzy zajmowali altanę; zamieniła z nimi spojrzenia znaczące, nim ich Florcia spostrzegła, potem zatrzymawszy się błada, drżącym głosem powiedziała:

— Florciu, twój ojciec czeka na ciebie w altanie. Idź do niego bezemnie (Michaś zniknął) i powiedz mu, że powrócę za pół godziny.

Nie było czasu jej zatrzymać. Odeszła szybko, a Florcia na w pół płacząc, na w pół śmiejąc się, znalazła się w objęciach ojca.

— O, ojcie — zawołała po chwili — czyśmy sami, gdzie jest...

— Twoja nowa mama? Poszła się przejść, żeby nas razem zostawić.

Florcia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Może sądzisz — rzekł ojciec, siadając obok córki — że nie zupełnie szczerze, niezupełnie uczciwie postąpiłem sobie z tobą w tej sprawie?

Oczy jego patrzyły jednak wesoło, ale Florcia odpowiedziała poważnie:

— Tak, ojczulku, to prawda. Rada jestem... — urwała bawiąc się złotą bransoletką, którą ofiarowała jej ciocia Hela.

— Rada jesteś, że to uznaję. Wysłuchajże wszystko. Wiedziałem że wystawię się na straszną scenę, gdy ci powiem że się żenię, wolałem więc to zrobić bez twego pozwolenia i bez twojej rady, wiedząc że nowa matka potrafi cię uczynić szczęśliwą.

Uśmiech na w pół smętny, na w pół pogardliwy osiadł na ustach Florci.

— Poczekaj. Mielśmy się pobrać dopiero we wrześniu, gdyż Zofia mówiła, że wyprawa jej pierwszej nie będzie gotową; ale po długich rozmowach o przyszłości, o tobie moja droga, zamiary nasze uległy zmianie. I wiesz co postanowiliśmy? — Głos p. Różalskiego brzmiał bardzo słodko, a oczy jego szukały po za Florcią, szczupłej, popielato ubranej postaci, przechadzającej się wśród klombu drzew. — Oto, że ciocia Hela pojedzie do nas na kilka tygodni i nauczy cię kochać twoje nową matkę. „Jeżeli — mówiła — Florcia znacznie okazywać jej niechęć, biedne dziecko zgotuje sobie tylko nieszczęście. Pojadę i pomogę jej do przebycia najtrudniejszych chwil.“ Więc 10-go czerwca odbył się nasz ślub, zupełnie cicho i tego samego dnia ciocia Hela pojechała do ciebie. Czy była ci pomocną, Florciu?

Florcia powstała i twarz jej nabrała dziwnego wyrazu.

— Tak, ale ona odjedzie!

— Jeżeli ją do tego zmusisz — rzekł ojciec, przytulając do siebie córkę. — Czy nie posądziłaś dotąd, żeśmy cię oszu-

kali? Czy się nie domyślałaś niczego? Ciocia Hela jest twoją matką.

— Ale ojczcie — w pięć minut później mówiła jeszcze odurzona Florcia — ja tego nie rozumiem. Jakże może nazywać się Zofią i Heleną, zarazem? Piszczalska mówiła, że p. Zofia taka czarna i że rodzina rada się jej pozbywa; ale pomimo wszystkiego taka jestem szczęśliwa! — Florcia rozśmiała się i ojciec z nią.

— Wytłomaczę ci to wszystko — powiedział nareszcie, trzymając ją na kolanach — bo mi ciocia Hela o wszystkim donosiła. Jeden z moich dalekich krewnych żenił się z kuzynką Heli, o której przykro mi powiedzieć, że ma charakter bardzo żywy, i niebardzo jest lubioną w rodzinie; nie nauczyła się panować nad sobą. Łatwo było pomieszać imiona, tembardziej że spotkawszy tam także twoją mamę, ciągle bywałem w tym domu. Piszczalska, która lubi plotki i Tomasz ogrodnik słyszeli coś i powtarzali, to czego nie wiedzieli. Radbym jednak, żebyś należycie oceniła poświęcenie ciocia Heli. Powiedz mi Florciu, czy nie potrzeba było odwagi, żeby spotkać od razu taką osobkę jak ty i pozyskać ją sobie? Florcia spuściła głowę zawstydzona.

— I słuchać wszystkiego, co mówiłaś o drugiej matce?

— O, ojczcie! — krzyknęła Florcia kryjąc zarumienioną twarz na jego ramieniu. — Ale ona wie, że ją teraz tak kocham! — dodawała.

— Na imię ma Zofia Helena — mówił jeszcze p. Różalski — więc była pod prawdziwym nazwiskiem i przybywszy do Różyna, zwierzyła się służącym, kim jest, aby zapobiedz nieporozumieniom.

— Dla tego to tak dobrze się sprawiali! — zawołała Florcia.

— Teraz — ciągnął dalej p. Różalski — wiesz wszystko, moje dziecko, i wiesz że przy pomocy Bożej i naszej dobrej woli, w domu naszym spokój panować powinien i szczęście.

Florcia i druga jej matka z radością zawsze wspominają ów miesiąc, który ciocia Hela spędziła sam na sam z Florcią, jestto jakby jeden węzeł więcej pomiędzy niemi. Florcia ma teraz lat szesnaście i lepiej jeszcze umie ocenić delikatność i takt, które powodowały żonę ojca i pomogły jej znieść przykre położenie, a wspomnienie owego czasu, kiedy wyznała swe winy i dowiedziała się, że ta, którą szanowała i kochała, potrafiła je zwyciężyć, poskramia prędko wszelki wybuch dawnej gwałtowności. Kącik w gabinecie nietylko w słotne dni bywa zajęty; Florcia szuka tam rady i pomocy, której kochająca matka zawsze gotowa jej udzielić. Michaś też zawsze mile bywa przyjęty podczas wakacji, które spędza u siostry. Jedna rzecz tylko dziwi obcych, którzy widzą serdeczne stosunki, łączące piękną i młodą matkę, z miłą i ożywioną córką. Oto ta ostatnia ciocia Helą nazywa tę, która prawdziwą matką jest dla niej, ale trzeba wiedzieć, że bardzo miłym jest jej to imię, pod którym zdobyła serce przedtem dla siebie zamknięte.

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Przekleństwa na nic się nie zdadzą — zauważył chłodno Gromski; — trzeba obmyśleć środki wydostania się z tej matni.

— Ciekawym, co tu można wymyśleć — mruknął James, kładąc się na łodzie — przecie nie rozwalimy pięścią góry?

— Spróbujemy rozszerzyć szczelinę.

— Czemu?

Na to krótkie pytanie inżynier nie mógł znaleźć odpowiedzi; rzeczywiście nie wzięto ze sobą żadnego narzędzia, k-

re dałoby się użyć do skruszenia barykady, zawałającej przejsie.

Wrodzona energia nie pozwoliła jednak Gromskiemu założyć rąk beczynnie, nie należał on przytem do fatalistów, jak James i nie tracił nigdy nadziei w najgorszym położeniu.

— Jak grubą może być warstwa lodu, oddzielająca koniec galeryi od powierzchni zewnętrznej lodowca? — zagadnął, usiadłszy obok Forda.

— Wnosząc z ilości światła, jaka przedziera się tutaj, nie potrzebowalibyśmy przebić więcej nad 5—6 metrów — odparł kapitan, — gdybym miał kilof, lub proch, za dwa dni utworowałbym sobie drogę... Wściekłość ogarnia mnie, kiedy sobie pomyślę, że jesteście bezzilni...

— Nie zupełnie, kochany kapitanie.

Ford uśmiechnął się gorzko.

— Nie miałeś pan jeszcze do czynienia z lodami podbiegunowemi — rzekł; — nie tak łatwo wypuszczają one ze swych uścisków. Ale co pan chcesz zrobić?

— Przebić się; zdaje mi się, iż posiadamy niezłe narzędzie do łamania lodu.

— O ile pamiętam nie zabraliśmy żadnego.

— A wahadło sekundowe, które niesie James?

— Co? wahadło do łupania lodu! — zawołał zrywając się kapitan.

Zacny marynarz wcale nie był zadowolony z projektu inżyniera; wahadło, które miało służyć do robienia doświadczeń na biegunie nad przyciąganiem ziemskim, stanowiło bowiem dla niego niezbędny instrument naukowy.

— Lepiej, podług mnie, zepsuć wahadło, aniżeli zarębać się żywcem — wtrącił James podając inżynierowi narzędzie.

Ford nie protestował, uznając słusność tych słów. Gromski obejrzał dokładnie wahadło: najważniejszą częścią jego była masywna, ciężka soczewka z ostrym brzegiem; mosiężne i żelazne pręciki, wychodzące z jej wnętrza, zastąpić mogły rękojeść.

Tak więc nasi podróżni ujrzeni się w posiadaniu narzędzia, co prawda niedogodnego, lecz za to dość mocnego.

— Rozszerzmy szczelinę — rzekł inżynier; — prawdopodobnie przechodzi ona na drugą stronę tego lodowca; niema czasu do stracenia; będziemy się zmieniali przy pracy co godzina, ja zaczynam.

Pierwsze uderzenia oryginalnego kilofa przywróciły wszystkim utraconą na chwilę energię; James, nie chcąc zostawać w beczynności, poczołgał się do miejsca, gdzie leżał Gromski.

— Pomogę panu — rzekł.

— I owszem, mój stary, wyrzucaj precz okrucy, które mi przeszkadzają; tym sposobem robota pójdzie prędzej.

Inżynier przekonał się niebawem, iż czeka go zadanie nielada! Coprawda lód był kruchy, na nieszczęście jednak wahadło nie mogło zastąpić kilofa, dla tego też James usuwał niewiele odłamków, prócz tego ciasnota galeryi tamowała swobodę ruchów. To też po upływie godziny Gromski chętnie pozwolił się wyręczyć sternikowi, który posiadał daleko więcej wytrwałości od niego.

James pracował niezamordowanie; niebawem udało mu się rozszerzyć na tyle zagięcie galeryi, iż mógł wsunąć w nie głowę. Gorzki zawód. Szczelina kończyła się o kilka metrów dalej.

Opóźniwszy tę smutną nowinę towarzyszą, sternik powrócił do roboty; kapitan bowiem, wnosząc z przezroczywości lodu, twierdził, iż pozostawało do przebicia trzy metry zaledwie. Jeżeliby to przypuszczenie sprawdziło się, w takim razie więźniowie odzyskaliby wolność po upływie dwóch dni najdalej. Zaczęła się tedy mozolna, a gorączkowa praca, spieszo się, każda godzina bowiem była drogą; kiedy przyszła kolej na kapitana, wydobywał on niesłychane masy lodowych okruców; Gromski musiał przenosić je na drugi koniec galeryi, gdyż zabierały za dużo miejsca. Dnia 7-go stycznia rano dotarto aż do samego końca szczeliny, która stopniowo przeszła w zaledwie dostrzegalną rysę.

Po obiedzie sternik, zmieniawszy Gromskiego, zabrał się do wykuwania przejścia w jednolitej, twardej massie lodu.

Po upływie dziesięciu minut, wrócił jednak do towarzyszy, blady ze wzruszenia.

— Wszystko na nic! — jęknął rzucając złamane waha-dło — nędznik ze mnie!

I stary marynarz patrząc na zepsute narzędzie, przeklinał samego siebie.

Wypadek ten znów pogрузzył w zwątpienie naszych podróżnych; ostatni środek ratunku wypadł im z ręki; zuchwałstwem i nedoręcznością byłoby chcieć porwać się z kawałkiem pręta miedzianego na olbrzymi lodowiec; sama soczewka na nic zdać się nie mogła, wyslizgiwała się bowiem z dłoni.

Ford i inżynier starali się pocieszyć nieszczęśliwego sternika, który sobie jednemu przypisywał całe nieszczęście.

— Trudno, mój stary — rzekł kapitan; — widocznie nie sądzono nam dotrzeć do bieguna. Pracujmy jednak do końca; jeżeli ściana jest cienką, przebijemy ją nawet za pomocą tego pręta.

— A gdyby zmierzyć grubość lodu przez świdrowanie? — zagadnął Gromski.

— Przecie nie mamy świdra.

— Potrafię się obejść bez niego — rzekł inżynier. — James — dodał, zwracając się do siedzącego nieruchomie sternika — czy nasza wódka może się palić?

— Palić; czy pan chce topić tę górę?

— Nie, lecz zapomocą rozgrzanego pręta wysondujemy grubość warstwy lodowej, która oddziela nas od wolnej przestrzeni.

Gromski bez zwłoki wziął się do urzeczywistnienia swego pomysłu; nalawszy do kubka metalowego trochę wódki, zapalił ją, rozgrzał miedziany pręt od waha-dła i dotknął nim lodu.

Operację tę musiał powtarzać kilkanaście razy, zanim mu się udało zrobić wąski otwór długości pręta. Ten ostatni mierzył z górą metr; warstwa lodu była więc znacznie grubsza; niebawem Gromski musiał zaniechać prób, gdyż nie tylko pręt, lecz i cała prawie ręka wlaźła mu w wytopiony otwór. W każdym razie miano do przebiccia więcej, aniżeli dwa metry lodu; rezultat badań nie był więc pocieszający.

(d. c. n.)

### SZARADA.

Do zabawy mogę służyć  
Tak dorosłym jak i małym,  
Gdy im czas zacznie się dłużyć  
Po dniu pilnej pracy całym.  
A i ręka uczonego,  
Gdym jeszcze czysta i biała,  
Pracę życia swojego  
Nieraz mi już powierzała.  
W tem się mieści *pierwsze wtóre,*  
Gdy ułożysz *czwarte trzecie,*  
Powiesz prędko słowo, które  
Niechętnie się słyszy w świecie

Bo ci nędzę przypomina,  
Lub żyjące dziko ludy;  
Gorących krajów murzyna,  
Któremu obce są przemysłu trudy.  
Niegdyś razem *wszystko* moje  
Bogactwem swem sławne było;  
I okrętów moich roje  
Nieprzyjacioly straszło.  
Lecz gdy nieszczęśliwe wojny  
Na mą zgubę rozpoczęłam,  
Minął czas świetny, spokojny,  
Bo w własnych gruzach zginęłam.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ulożona dla Wielkiego Węza.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwisko współczesnego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Ryba u nas pospolita z rodziny karpiowatych.
3. Rzeka w Hiszpanii.
4. Miasto w gub. tomskiej.
5. Port w gub. tauryckiej.
6. . . . .
7. Miasto w Belgii z pomnikiem sławnego malarza.
8. Rzeka w Indyach wschodnich.
9. Miasto w Ameryce pół. gdzie się zbiera najlepsza china.
10. Wykrzyknik.
11. Spółgłoska.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 19 go

Szarady: Mo — ty — le.

Kwadratu magicznego: K o z a  
o c e t  
z e r o  
a t o m

### Na kolonie letnie złożyli:

Marysienka i Anđzia Sok. rs. 3. — Jadzia i Mania Szr. rs. 1.  
Reginka Mur. rs. 2. — Dumka H. rs. 1. — Dla biednych: p. R. Kosińska rs. 1 kop. 75.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

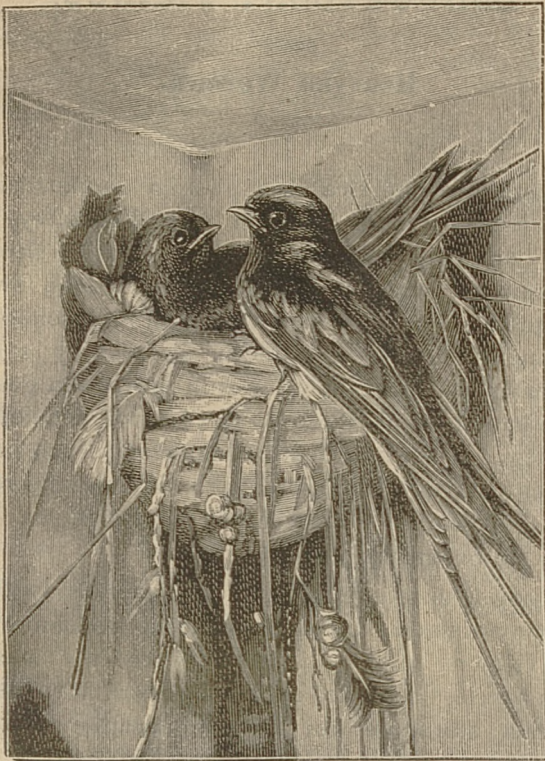
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Strusie (z drzew.) — Złotnik królewski, obrazek z XIV w., p. Z. Morawską. — Do dziewczynki, wiersz p. R. E. — Wrota Tamerlana (z drzew.) — Ogrody botaniczne, skreślił Edmund Jankowski (z drzew.) — Ciocia Hela, opowiadanie p. Z. M. — Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego. — Łamigłówni i rowiązania. Dodatek: Zwiastuny wiosny p. V. Cairo (z drzew.) — Babcia i wnuczka, wiersz p. A. — Pogadanka z ciocią, p. Ciocię Rózię. — Lekkomysłny Franuś, p. Henryka Wernica. — Łamigłówni i rowiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszcz meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.



## ZWIASTUNY WIOSNY.

Przez otwarte okno wpadał do pokoju promień wiosennego słońca, a z ogrodu wraz ze świeżymi falami powietrza zapach fijołków i zawiązków pękających krzewów i latorośli. Dziewczynki zajęte odrabianiem lekcji siedziały przy stole pilnie pisząc; od czasu do czasu podnosiły tylko z nad kajetów i książek ciemne główki — nabierały pełną piersią świeżego powietrza i woni, a spojrzawszy na siebie znacząco, uśmiechały się radośnie. „Wiosna, już prawdziwa wiosna nadchodzi! — zdawały się mówić sobie spojrzeniem. — Jak to dobrze!”..

I napowrót pochylały główki zajęte pilnie zadaniem, pióra biegały po papierze coraz szybciej, a na czołach osiadał wyraz, świadczący że umysły pracowały gorliwie.

I niedziw! — Obie chciały jaknajlepiej i najprędzej skończyć lekcję aby korzystając ze ślicznej pogody wybiedz do ogródka, gdzie na słońcu było już tak ciepło, a z pod szarej, świeżo poruszonej ziemi wychylała drobne jasno-zielone wąsiki pierwsza trawka. —

Mówią, słyszałam, że prawdziwie pilnym dzieciom dopomaga Anioł stróż ile razy czyjej pomocy potrzebują — i widocznie nie jest to bajką skoro w pół godziny potem Lila i Zosia stały na ganku zapinając paltociki. Myślały że za chwilę chwycą już za łopatki, i będą kopały swoje własne grządki będące zwykle ich chlubą przez całe lato. Nagle jednomyślnym ruchem podniosły główki.

— Ci-wik! Ci-wik!.. Zaświegotało w górze i na zrębie muru wewnątrz ganku usiadły dwie jaskółki, kręcąc ciekawie łebkami na wszystkie strony. Dziewczynki klasnęły w dłonie.

— Jaskółki, jaskółki! — wołały radośnie.—O, to już teraz na pewno będzie wiosna i ciepło skoro zawitały do nas z powrotem. Ale jakież one śliczne!.. Jesienią odlatywały jeszcze młode i nie tak ładnie upierzone, a dziś jakie smukłe, zręczne i strojne w swych ciemnoszafirowych sukienkach. Och, jakie one śliczne!..

Ptaszynki jakby rozumiejąc że je przyjmują z radością i podziwiają przyjaźnie, kręciły zalotnie szybkami, ćwierkały wesoło i spoglądały na dziewczynki pewne siebie, i przekonane że je tu nic złego nie czeka.

I w istocie, w samym kąciku muru od zeszłego lata czekało na nie nienaruszone niczyją ręką gniazdeczko, nie wymagające nawet żadnej naprawy, tak zgrabnie i miękko wyłożone piórkami. W czasie burzy i wichrów miały więc schronienie wyborne dla całej rodziniki, a nie rzadko jeszcze znajdowały okruszyny bułeczki posypane na stoliku, które w braku muszek i owadów smakowały wcale nie źle, zwłaszcza młodym pisklętkom.

Czemużby więc nie miały się cieszyć?..

Myślały sobie nawet że byłoby pożądanem aby wszystkie dzieci na świecie miały tak pocziwe serduszka jak Lila i Zochna, i jak one wiedziały, że niedarmo twierdzi ludowe podanie, jakoby jaskółki przynosić miały ze sobą szczęście pod strzechę, a biada tym którzy nie szanując ich pracy niszczą im misterne gniazdzka.

— To takie miłe i wdzięczne Boże stworzonka, że je kochać i ochraniać trzeba koniecznie, a przytem... Wszak to zwiastuny wiecznie uroczej wiosny... Nieprawdaż?..

V. Cairo.

## BABCIA I WNUCZKA.

Tyś mi mówiła,  
Babciu ma miła,  
Że śnieg przypruszył twe włosy;  
Śniegi już znikły,  
Kwiatki rozkwitły,  
I w kwieciu stoją już wrzosy.

Babciu ma złota,  
Pójdziem przed wrota,  
Podaj mi rączki swoje!  
Słonko przygrzeje,  
I śnieg stopnieje,  
Włoski twe będą jak moje.

A.

— Ciociu — odezwała się Mania — już znamy dobrze sześć barw tęczy, ale ciocia obiecała nam jeszcze coś więcej o barwach powiedzieć.

— Dobrze, Maniu — odpowiedziała ciocia — przywołaj tylko Janka.

Gdy Mania wróciła z bratem, ciocia przyniosła z szafki kawałek cukru, kawałek kredy, kościany nożyk, i położyła wszystko na białej ćwiartce papieru.

— Powiedzcie mi, moje dzieci — zaczęła — jakiej barwy są te przedmioty, które na papierze położyłam?

— Białej barwy, ciociu — odparły dzieci jednocześnie.

— Lecz ta barwa inną jest w kredzie a inną w cukrze, inną jeszcze na tym nożyku — zauważyła Mania.

— Bez wątpienia Maniu, przecież każdy powie że te wszystkie przedmioty są białe, a nie zielone, niebieskie, żółte lub czerwone. Nieprawdaż? — zapytała ciocia Różia.

— Naturalnie — zawołał Janek — czemże się jednak różnią między sobą? Ten nożyk jest troszeczkę żółciejszy od cukru, prawda ciociu?

— Tak jest, i te wszystkie białe kolory różnią się między sobą odcieniami. Jeden ma trochę odcienia żółtego, inny znów jest troszkę do szarego koloru zbliżony. Każdy kolor ma mnóstwo odcieni, weźmy na przykład kolor niebieski. I niebo jest niebieskie.

— O ile chmury go nie zasłonią — zawołała Mania.

— Masz słuszność Maniu — uśmiechnęła się ciocia Różia — i twoja sukienka jest niebieska, i papier na ścianach tego pokoju pomalowany w niebieskie kwiatki, a przecież wszystkie te kolory różnią się między sobą odcieniem. Jeden i ten sam kolor może być jasny i ciemniejszy, bardzo ciemny: na przykład z niebieskich barw znamy odcień błękitny i szafirowy, granatowy. To też jakkolwiek barw zasadniczych mamy tylko trzy — a jakie to są barwy Janku?

— Czerwona, żółta... i... — i zawahał się Janek — i niebieska — dokończył.

— Tak jest; otóż, chociaż znamy tylko trzy barwy zasadnicze, czy wiecie, ile znamy odcieni barw?

— Może ze sto a może i więcej — odezwała się Mania.

— O, znamy ich o wiele więcej, bo całe czterdzieści tysięcy!

Dzieci wykrzyknęły z podziwu.

— Aż tyle! — zawołała Mania.

— Porównaj tylko — odezwała się ciocia — kolory wszystkich sukien mamy, twoich sukienek, twojej lalki...

— I tatusia, i Janka — przerwała Mania.

— I tatusia i Janka — powtórzyła ciocia — a zobaczysz sama ile znajdziesz odcieni różnych barw.

— A ja muszę wyrachować ile barw znajdę na tej poduszce kanwowej, włóczką wyszytej, która leży na mamy szeszlengu — zawołał Janek.

— I ja z tobą — dodała Mania.

Dzieci ucałowały ciocię i pobiegły szukać odcieni różnych barw na kanwowej poduszce.

*Ciocia Różia.*

## LEKKOMYŚLNY FRANUS.

przez

Henryka Wernica.

I.

Mieszkanie państwa Z. w ubogim domku, położonym na jednej z nadbrzeżnych ulic Warszawy, składało się zaledwie z dwóch pokoiów, bardzo skromnie umeblowanych, wszakże schludność z każdego świeciła w nim kącika. Podłoga nadzwyczajnej białości, chodniki ułożone z aktowego papieru, świadczyły zarówno o niezamożności jak o zamiłowaniu porządku gospodarki. Całe umeblowanie składało się ze staroświeckiej kanapy i takiegoż stołu, kilkunastu różnokształtnych krzeseł, szafkowego staroświeckiego zegara, kilku rycin rozwieszonych na ścianie i odwiecznej konsolki, na której wznosiły się brązowe posążki.

Gdyby te skromne sprzęty mogły przemówić, opowiedziałyby niejedno bolesne i radosne rodzinne wydarzenie. Główne miejsce zajmowały tu dwie maszyny, jedna do szycia, druga do robienia pończoch. Pierwsza próżnowała starannie okryta, przy drugiej robiła pończochy młoda 16 letnia dziewczynka. Snadź robota szła jej niesporo, bo co chwila się zatrzymywała, co chwila coś poprawiała; wreszcie maszyna stanęła.

Po chwili z sąsiedniego pokoju weszła średniego wieku kobieta, a ujrawszy dziewczynkę beczynną i smutnie spoglądającą przed siebie, spytała.

— Co ci to Józiu? czy znów maszyna się popsuła?

— Znów mam — odparła z westchnieniem Józia — i znów na czas nie wykończę roboty.

— Mów ciszej Józiu, żeby ojciec nie dosłyszał. Wiesz, jak go martwi nasze niepowodzenie.

Pani Z. zbliżyła się do maszyny, obejrzała ją na wszystkie strony, ale widząc że nic dopomódz nie może rzekła:

— Ja temu nie poradzę; poczekajmy na Franusia, on jest zręczniejszy od nas obu.

Wtem dały się słyszeć w sieni jakieś głosy, drzwi się otworzyły i ukazał się w progu mężczyzna dosyć przyzwoicie ubrany

— Czy tu mieszkają państwo Z.? — spytał głosem szorstkim i gniewnym, a po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi mówił dalej zwracając się do matki

— Czemu pani pozwala swojemu synowi biegać po ulicy Bóg wie z jakimi chłopcami. Najgorszy on daje przykład mojemu synowi; ot i dziś mało co go nie zabił.

— Franus niedawno stąd wyszedł wyjąkała strwożona tą wiadomością matka, przymykając drzwi prowadzące do pokoju, w którym chory spoczywał.

— Być to może — odparł rozgniewany przybysz — lecz przed chwilą wdrapał się na drzewo rosnące na polance, spadł z niego na mego syna, i może złamał mu

nogę, bo kulejąc i płacząc z bólu, wsparty na ramieniu kolegów powrócił do domu.

Nagle dał się słyszeć dzwonek z sąsiedniego pokoju.

— Ulituj się pan, nie mów tak głośno, chory mój mąż znów się przebudził — błagała pani Z. przybyłego.

Ale ten nie zważał na prośbę stroskanej, wciąż się gniewał i groził, że zapozwie państwa Z. o zwrot pieniędzy wydanych na leczenie syna. Opuścił wreszcie mieszkanie trzasnąwszy drzwiami.

Po odejściu nieznanego matka weszła do przyległego pokoju. Uspokajała męża jak umiała, ale nie mogła przytłumić przykrego wrażenia, jakie jej sprawił ten wypadek.

Chory z urywanych wyrazów jakie się obily o jego uszy domyślił się, iż szło tu o jakąś nową psotę Franusia.

— Ach! ten Franuś, ten Franuś, ile on nam sprawia przykrości! — wyrzekął. — Ileż to razy mu zaleciłem żeby się nie zadawał z tym Wicusiem, który go do wszystkiego złego namawia, ale to nic nie pomaga — dodał — zawsze on ten sam, ustawicznie nas martwi.

Chociaż matka Franusia czuła słuszność słów męża, starała się jednak zmniejszyć winę syna, ale nie powiększać rozdrażnienia ojca na Franusia, który pomimo swej lekkomyślności, posiadał wiele dobrych przymiotów.

Pochwili zwyczajna cisza zaległa mieszkanie. Poczęło się już zmierzchać, Franuś nie wracał do domu.

— Co się też dzieje z Franusiem? — pytała matka Józii, a jednocześnie prawie dało się słyszeć zapytanie ojca:

— Czy Franuś jest w domu?

— Pewnie zaraz przyjdzie, ale jeszcze go niema — powiedziała pani Z. — Poczekam chwilę, a jeśli nie przybędzie poszlę po niego.

Po upływie 10-ciu minut matka skinęła na Józję, a dziewczynka wzięwszy kapelusz i zarzuciwszy salópkę, wyszła na poszukiwanie Franusia.

Państwo Z. nie zawsze byli w tak przykrem majątkowem położeniu jak dzisiaj. Nigdy wprawdzie nie można było nazwać ich bogatymi, ale też nigdy nie zbywało im na tem, co koniecznie potrzebne do wygodnego życia. Dopiero długa choroba pana Z. zmieniła ich położenie i zmusiła matkę do kupienia maszyny do szycia, za pomocą której przyczyniała się do utrzymania rodziny, spędzając nieraz na szyciu całe noce.

Józia wczesnie skończywszy pensyę, postanowiła także pracować, aby przynieść ulgę pełnej poświęcenia matce. Na jej prośbę pani Z. kupiła maszynę do robienia pończoch. Jako starsza z rodziny, Józia uważała za święty obowiązek zajęcie się wychowaniem młodszego brata, a jednocześnie miłość siostrzaną z powagą macierzyńską, największy miała wpływ na lekkomyślnego Franusia. Franuś też wielką obdarzał ją ufnością, ze wszystkiego jej się zwierzał i z całą pokorą przyjmował łagodne jej napomnienia. To też nieraz Józia wymogła na nim to, czego ojciec i matka wymódz nie mogli.

Obecnie wyszedłszy z domu zwróciła kroki na plac, na którym zwyczajnie Franuś się bawił, lecz zastała tam tylko kilku chłopczyków, od nich dowiedziała się że Franuś upadł, a jakiś nieznajomy pan obszedł się z nim

nie bardzo grzecznie i zagroził mu że pójdzie ze skargą do jego rodziców. To też Franuś chciał przeczekać pierwsze chwile gniewu matki, a może i ojca i nie poszedł wprost do domu, lecz wstąpił do jednego z kolegów.

Józia wracała do domu smutna. Co powie matce, co choremu ojcu skoro się spytają o Franusia? Kiedy tak szła głęboko zadumana, spojrzała w górę na światło latarni i przy jej blasku poznała Franusia w otwartym oknie jednego z sąsiednich domów. Franuś ujrawszy siostrę zeszedł na dół.

— Co się z tobą dzieje? — zagadnęła go Józia — dla czego dotąd nie powróciłeś do domu? Jaki ty nieostrożny! Ten pan mówił, że o mało co nie zabiłeś jego syna. — Tu siostra opowiedziała bratu o wszystkim co u nich zaszło. — Pójdźmy do domu, zachowaj się tam spokojnie, żeby ojca nie przebudzić.

Kiedy Franuś wszedł do pokoju, kiedy spojrzał na smutną matkę, z wielkiego żalu łzy stanęły mu w oczach. Uczuł, że wiele zawinił; chciałby na kolanach błagać matkę o przebaczenie, ale nie śmiał. W milczeniu zbliżył się do niej, pocałował ją w rękę, lecz po obojętności z jaką go powitała, czuł, że bardzo była na niego zagniewana. Pomimo dotkliwego uczucia głodu bezwzględnie zasiadł do roboty.

Po chwili przywołała go Józia mówiąc:

— Mój Franusiu, pomóż mi. Znów coś się zepsuło w tej maszynie. Zawsze byłeś tak zręczny, może i teraz ją naprawisz.

Franuś powstał z miejsca, obejrzał maszynę, odnalazł błąd i poprawił go niezwłocznie.

— Dziękuję ci — rzekła mu siostra i z podwójną gorliwością zabrała się do roboty. Franuś powrócił do swego zajęcia.

Tymczasem ojciec się przebudził, zażądał jakiegoś posiłku i spytał o Franusia, a dowiedziawszy się iż jest w domu, uspokoił się i znów zasnął.

## II.

Upłynęło parę miesięcy. Nic nie zaszło pocieszającego w domu państwa Z. Ojciec ciągle chorował, a co gorsza znacznie osłabł. Matka coraz była smutniejsza, a uśmiech który dawniej jak jasny promień słońca niekiedy twarz jej rozjaśniał, znikł teraz bezpowrotnie. Józia z tych oznak i luźnych słów wносиła, że matka przestała wierzyć w wyzdrowienie ojca, ale Franuś znacznie od niej młodszy i rzadziej przebywający w domu, niczego się nie domyślał, uczył się może pilniej i ulegając żądaniu rodziców, zerwał ze swawolnym Wicusiem, wszakże jak chwiejna chorągiewka, nie przestał pomimo to ulegać wpływowi każdego doroślejszego, silniejszego i bardziej swawolnego chłopca.

Pewnego dnia z powodu nadzwyczajnej uroczystości uwolniono chłopców od lekcji prędzej niż zwykle. Franuś zebrał książki zamierzając niezwłocznie powrócić do domu, ale zatrzymał się trochę przed szkołą czekając na jednego z kolegów, mieszkającego na tej samej ulicy. Wtem zbliżył się do niego Tomuś zamieszkały na Pradze i namówił, aby z nim poszedł ryby łowić. Długo Franuś nie chciał go słuchać, jednakże gdy Tomuś tem się nie zrażał i wciąż go namawiał, a kiedy i to nie pomo-

gło, począł z niego żartować, szydzić, nazwał go piecuchem i dzieckiem. Franuś niczego tak się obawiał jak szyderstwa, nie chciał być pośmiewiskiem kolegów a niedorzeczny wstyd nie dozwalał mu powiedzieć, że czyni to nie z obawy jedynie, lecz z przywiązania do matki i chorego ojca.

Tomuś widząc wahanie się jego dodał:

— No chodźcie, patrz, mam tu wędkę z haczykiem, wstąpię do domu, wezmę kij i pójdziemy łapać ryby. Zobaczysz ile ich złapiemy! Powrócisz o zwykłej porze i nikt się nie domyśli, że nie byłeś w szkole.

Przez pewien jeszcze czas rozważał Franuś co ma uczynić, lecz Tomuś tak go umiał zachęcić, że lekkomyślny chłopiec dał się przekonać i poszedł z nim.

Kiedy szli przez most, świeży orzeźwiający wietrzyk, pogodne bezchmurne niebo, płynące tratwy, wołania orylów, łódki retmańskie, wszystko to zachwycało Franusia.

— Czy widzisz — rzekł Tomuś — tego oryla płynącego w łódce, jakże prędko szybuje po powierzchni wody, zda się, że przyrósł do łódki. Jakżebym chciał być na jego miejscu!

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

ułożyła Rzepicha dla Kingi.

Kto nie zna prostego i mądrego kmiecia?  
Środek koła, nazwę jego przypomina,  
Jego syny i wnuki—to słynna rodzina,  
Wzniesiona nad inne przez liczne stulecia.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Czarodziej z nad Ligowki.

Z następujących sylab: **A** — mnon — błoń — dą — ga — wi — ja — gdańsk — me — men — zya — ka — il — brów — a — sła — ułożyć 7 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię żeńskie.

1. Gatunek roślin z rodziny różowatych, obejmujący znane drzewa owocowe. 2. Nazwa jednej części świata. 3. Córka Bolesława I króla czeskiego. 4. Rzeka w królestwie polskim. 5. Jezioro w Rosyi. 6. Miasto nad Wisłą. 7. Król grecki, bohater z wojny trojańskiej.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Łamigłómkę w trójkącie:

Ż e g l a r e k  
E u r y n i e  
G r u s z a  
L i a n y  
A n y ż  
R y ż  
E j  
K

### Zadania konikowego:

Najlepiej Bóg radzi  
O swojej czeladzi.

### Skrzynka do listów.

Owszem, **Ciociu Maniu**, rozumiemy doskonale, o co ci chodzi, i jak dawniej pozdrawiamy cię serdecznie.

**Jaśko Warszawiak** rozumie zapewne, że w nadsyłanych nam wypracowaniach cenimy przede wszystkim nie wartość ich—bo ta zawsze bywa i bywać musi bardzo względną—lecz mniej lub więcej widoczną w nich chęć usilną nadania im wartości przez pracę. Temat konkursu wakacyjnego nie jest co rok jednakowy, przeciwnie, co rok inny; nie możemy więc jeszcze nic o nim donieść. **Józio** i **Gołąbka** uszczęśliwieni będą z listów.

**Cz. Bas.** Nie możemy dać na pytanie innej odpowiedzi, nad tę, że pisze się tak, nie inaczej, bo *tak* brzmiącego wyrazu używa się w mowie poprawnej. Zadanie konikowe dobrze rozwiązane; w łamigłównie znaleźliśmy błąd w podziale wyrazów na sylaby, nie „Dań-ja,” lecz Da-nija, lub wreszcie Danja, jak chcą mieć najnowsze reguły ortograficzne. Pomyślawszy trochę, łatwoby się uniknęło zamieszczania liter lub wyrazów cudzoziemskich: *Arbuz*, *Elbląg*, wybornie zastąpią numer drugi i piąty. Po co wreszcie używać imienia w 5-tym przypadku, kiedy tę samą usługą odda imię króla egipskiego, ogólnie znane: *Nechao*? Poeta którego nazwisko stanowi rozwiązanie, jest bezwątpienia „wielkim,” ale to jeszcze za mało; trzeba wymienić narodowość oraz wiek, w którym żył. Łamigłówna nie do druku, a dla tego wykazujemy jej błędy, aby przekonać Cz. Bas, że słusznymi są wymagania nasze, które może wydają mu się za surowe.

Biedna **Czteroooczka!** nie posądzając ją o lenistwo, nie przypuszczaliśmy wszakże, że tak poważna przeszkoda nie pozwoliła jej stanąć do konkursu. Widać że zdrowie w zupełnie dobrym już stanie, skoro pozwolono Czteroooczce odbyć podróż tak ładną, ale zapewne bardzo utrudzającą.

Nauczycielki nie gniewają się za takie tajemnice, jak ta, którą wreszcie odkryła nauczycielce **Czesława Kl.** Życzeniu wyrażonemu w liście uczyniliście zadość.

Sobie przede wszystkim podziękuj za nagrodę, **Czupurny kuguciku**, ja nic a nic nie wpływałam na przyznanie ci jej. Nie, to nie jest osoba o której mówisz. Ciebie, również jak i **Ogrodnika** z **Jeziorki** serdecznie całuję, jak to zwykłam czynić z małymi korespondentami.

Gołąbka.

Pióro odbieram **Jaskółce**, aby wam odpowiedzieć, kochani koledzy, **Bystry sokole** i **Koniku polny**. Ach jakiś ty szczęśliwy, że mieszkasz nad morzem, że chodzisz oglądać okręty, za którymi ja przepadam. Gdybym to ja mógł zostać marynarzem! Ale nie, po skończeniu gimnazjum realnego czeka mię inny zawód, zapewne technika i staram się też wyrobić w sobie zamiłowanie do tego. **Bystry sokole**, nie powiem ci, ile mam lat, wiedz to tylko, że dobrze jestem starszy od ciebie i szóstą klasę kończę. Mogłbym być twoim korepetytorem, ale chyba przez telefon. Szkoda! Przyjaźnie ściska wasze dłonie.

Józio.

**Osoba wyjeżdżająca** z własnymi dziećmi na wieś pragnie wziąć z sobą dwoje dzieci, którym zapewnia troskliwą opiekę i w razie potrzeby pomoc naukową. Miejscowość sucha i zdrowa, kąpiele rzeczne i lekarz w miejscu. Bliższa wiadomość w redakcyi. **Wieczorów.**